

Marność nad marnościami

OCH-TEATR

Korzystając z motta z biblijnego Eklezjasty, Janusz Wiśniewski inspiruje się „Nosem” Mikołaja Gogola, by jak zawsze zbudować na scenie osobny świat. Wciągnie on miłośników i wyznawców artysty, innych zostawi w obojętności

Jacek Wakar, Polskie Radio

Pisałem to przy okazji którejś z poprzednich premier Janusza Wiśniewskiego, powtórzę i przy tej okazji. To jest artysta w każdym kolejnym miejscu i przy pracy nad każdym kolejnym tekstem otwierający swój

własny teatr – teatr Janusza Wiśniewskiego. Zmieniają się wykonawcy, chociaż niektórzy – jak tym razem Wiesław Komasa – do reżysera powracają. Zostają kompozytor Jerzy Satanowski i jego mocne rytmiczne frazy kojarzone już z przedstawieniami Wiśniewskiego oraz choreograf Emil Wesołowski, projektujący niby inny, a przecież bardzo za każdym razem podobny, od pierwszej chwili rozpoznawalny marszotaniec aktorów, ich szalony korowód. Dlatego to, czy Wiśniewski pracuje akurat w Gdańsku, Radomiu czy w warszawskim Polskim, Ateneum czy Och-u, ma znaczenie, choćby ze względu na aktorów, niemniej upieram się, iż adres w tej kwestii jest raczej drugorzędny. Więcej zależy od doboru tekstów. Wiśniewski zwykle traktuje podstawę scenariusza jedynie jako źródło inspiracji, poczynając sobie z literackim oryginałem nader swobodnie. Podobnie dzieje się także w warszawskim Och-Teatrze, gdzie wziął na warsztat „Nos” – jedno z najwybitniejszych opowiadań Mikołaja Gogola.

Zostawia z niego główny motyw – historię majora Kowalewa (Jarosław Boberek). Pewnego dnia przy Newskim Prospekcie w Petersburgu stracił on nos, który nie wie, gdzie czemu odpadł z jego

twarzy. Odpadł i zaczął żyć własnym życiem, rujnując w samych podstawach egzystencję swego dotychczasowego właściciela. Ten zaś rzuca się za niewdzięcznym organem w nieustanny pościg, ale nawet końcowy sukces nie gwarantuje, że sprawy wrócą na właściwy tor.

Tyle mniej więcej jest w warszawskim spektaklu. Tyle że Nos zyskuje w nim własną postać (Miroslaw Kropielnicki), ale też defiluje przez scenę pod postacią Mężczyzny Bezprzykładnie Pięknego (Michał Barczak). Wszystko ulega więc rozszczepieniu, jakby Wiśniewski chciał brać pod lupę poszczególne cechy ludzkiej osobowości. Czyni to w zawrotnym tempie dyktowanym przez muzykę Satanowskiego, czasem przeistaczając swe przedstawienie niemal w farś. Do tego Gogol ze swym fenomenalnym opowiadaniem (obok „Płaszcz” zdecydowanie najlepszym) jest dla Wiśniewskiego jedynie wierzchołkiem góry lodowej, gdy idzie o cytaty. Mamy tu całkiem zauważalne fragmenty z Mickiewicza, jak zwykle u tego artysty pojawia się Eliot, ale też Fiodor Dostojewski z krótkim kawałkiem z „Biesów”. To jest największa literatura, ale Wiśniewski przemyślnie miesza wszystko z niemal wszystkim.

Słyszemy zatem przebój Filipinek oraz teksty znane z piosenek Michała Bajora.

Reżyserowi udaje się rozpuścić swój teatralny żywioł, dobrze służy temu dwustronny układ sceny w Och-Teatrze. „Nos” zaskakująco gładko zmieścił się w poetyce Janusza Wiśniewskiego, tak jak zmieściły się w niej przed kilkoma miesiącami „Uczone białogłowy” Moliera, zrealizowane w Ateneum. Jednak tym razem – przynajmniej odnoszę takie wrażenie – oglądamy jego teatr w wersji minimum. Ograniczony do garstki aktorów i niezbędnych dekoracji. Zostaje z tego kilka zapadających w pamięć obrazów, pięknie prowadzący rolę Narratora Wiesław Komasa, który styl Wiśniewskiego zna na wylot, dlatego wie, jak ocaleć pod maską lub charakterystyczną. Zostaje też zaczerpnięte od Koheleta przeświadczenie, że wszystko to marność, marność nad marnościami. Dla jednych będzie to sporo, dla innych zbyt mało. Miłośnikom Wiśniewskiego proponuję powrót do jego świata, nowych fanów chyba mu jednak nie przysporzy. ©

„Nos” na motywach opowiadania Mikołaja Gogola | reżyseria: Janusz Wiśniewski | Och-Teatr w Warszawie

